

GRZEGORZ PRZEBINDA

Apologeci dawnego pierwszego sekretarza radzieckiej partii i szefa KGB widzą w nim – i zgoła słusznie! – patrona „specjalnej operacji wojskowej” przeciw Ukraińcom. Zapominają dodać, że miał wydatny udział w pierwszej takiej w dziejach powojennego ZSRR krwawej operacji wojennej – w Budapeszcie.

PUTIN, ORBÁN. DZIEDZICE ANDROPOWA

Regionalny portal Jarosławia nad górną Wołgą (600 tys. mieszkańców, 300 km na północny wschód od Moskwy) poinformował nie bez dumy, że w mieście, na jednym z domów przy ul. Sowieckiej 4, odsłonięto tablicę honorującą 110-lecie urodzin Jurija Andropowa (1914–1984), niegdysiejszego kierownika KGB, a w latach 1982–1984 sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Nadwołański reportażysta widzi Andropowa nierzadym ongiś Puszkim Mickiewicza („Z wysoka więc na świat spoglądał...”).

„Surowe oblicze i docieklive spojrzenie. W zamyśleniu spogląda z góry na miasto, tak jakby wiedział znacznie więcej aniżeli wszyscy pozostali” – napisał w portalu 17 czerwca tego roku, kiedy ową tablicę odsłaniano. I dalej: „15 lat kierował KGB, a 15 miesięcy zajmował urząd sekretarza generalnego KC KPZR [...]”. Ogólnie przywiązywał ogromną wagę do walki z terroryzmem i korupcją, zauważył Michaił Jewrajew, gubernator obwodu jarosławskiego. – Jest to szczególne aktualne dziś, gdy toczy się specjalna operacja wojskowa. Widzimy przecież, jak można przemodelować [w złą stronę] bratni [ukraiński] naród. [...] Odsłonięcie tablicy pamięci było szczególnym wydarzeniem dla członków jego rodziny. W uroczystościach wzięli udział wnukowie Andropowa, którzy w swoim czasie poszli jego śladami, też wybierając struktury bezpieczeństwa państwowego”.

Za drugim razem wyrok jest dłuższy

Nic dodać, nic ująć. Na zademonstrowanej w jarosławskim tekście tablicy – umocowanej na domu dla niegdysiejszej nomenklatury, w którym Andropow mieszkał w latach 1938–1940 jako pierwszy sekretarz Komsomołu – widnieje również informacja, że posiadał on tytuł „bohatera pracy socjalistycznej”.

Sam przechowałem w pamięci jeszcze z ostatnich lat studiów, że w ciągu 15 miesięcy Andropowa na czele partii (1982–1984, pomiędzy Breżniewem a Czernienką i Gorbaczowem) znane były szeroko również i w PRL-u rajdy radzieckiej milicji po tamtejszych sklepach, restauracjach i kinach w poszukiwaniu „bumelantów”, czyli ludzi spędzających czas pracy na rozrywkach. Ale już i wtedy z różnych nielegalnych źródeł, publikowanych u nas w drugim obiegu od pierwszej Solidarności, dobrze wiedziałem, jak poważną rolę odgrywał tenże bohater pracy socjalistycznej w walce z dysydentami, będąc już od 1967 r. pomysłodawcą – jako świeżo nominowany szef KGB – wysyłania ich do karnych szpitali psychiatrycznych. Natalia Gorbaniowska, jako jedna z takich właśnie więzionych na przełomie lat 60. i 70., wspominała w swych późnych latach:

„Z jakiegoś powodu zwykło się teraz [2008] mówić, że wraz z dojściem do władzy Andropowa ruch dysydencki upadł, tak jakby upadł sam z siebie. Nie upadł, ale został zduszony! Pod koniec lat siedemdziesiątych i na początku lat osiemdziesiątych represje były brutalne, wiele osób zostało zabranych po raz drugi, a gdy człowieka biorą po raz drugi, to wyrok jest dłuższy, a reżim nie jest już tylko »surowy«, lecz »specjalny«. Gdy Andropow został sekretarzem generalnym, wprowadził artykuł, zgodnie z którym za naruszenie reżimu obozowego można było człowieka nie tylko umieścić w karcerze, ale po prostu dodać mu do wyroku trzy lata, to znaczy za dwie lub trzy krytyczne uwagi człowiek taki mógł pójść pod koniec wyroku nie do domu, ale do innego obozu, tym razem już dla kryminalnych przestępców. W ciągu tych lat w obozach było wiele zgonów – nie z powodu strajków głodowych, ale zвычайnie za sprawą chorób, braku opieki medycznej i tak dalej”.

Sołżenicyn wyrzucony i czczony

Wspomnę jeszcze, że Andropow przygotował szczegółowy plan deportacji Sołżenicyna z kraju, co doprowadził do skutku w połowie lutego 1974 r. Gdy bowiem wieść o rychłej publikacji „Archipelagu Gułag” za granicą (we Francji i USA) dotarła do władz ZSRR, tamtejsze Biuro Polityczne zwołało posiedzenie, na którym ówczesny szef KGB Andropow powtórzył swą starą opinię, że problem definitywnie się skończy, gdy Sołżenicyn zostanie z kraju wyrzucony: „Trzeba go wydalic bez jego zgody. W swoim czasie wydaliliśmy z kraju Trockiego, o zgodę go nie pytając. Ja, towarzysze, już od 1965 roku podnosiłem problem Sołżenicyna. A teraz w swej wrogiej działalności wznosił się on na nowy etap. Stara się stworzyć równą Związkowi Radzieckiemu organizację, grupuje ją z byłych więźniów. Występuje przeciwko Leninowi, przeciwko rewolucji październikowej, przeciwko ustrojowi socjalistycznemu. »Archipelag Gułag« nie jest utworem artystycznym, ale politycznym dokumentem. To niebezpieczne. Mamy jeszcze w kraju dziesiątki tysięcy wlasowców, [ukraińskich] OUN-wców oraz innych wrogich elementów. Ogólnie są to setki i tysiące ludzi, spośród których Sołżenicyn będzie odnajdywał poparcie”.

Obecny samozwańczy apologeta Sołżenicyna – Putin, który w roku 1985 ukończył nauki w moskiewskim Instytucie Czerwonej Gwiazdy KGB im. Andropowa, zapewne nawet nie wie, że ten jego nieśmiertelny, jak widać, patron wyrzucił ongiś z kraju pisarza, na którego on sam powołuje się bezwstydnie w swej wojnie przeciwko Ukrainie i Zachodowi.

Swoją drogą odbywający do niedawna w Rosji wyrok 25 lat kolonii o surowym



Jurij Andropow w Łańsku w 1965 r. Dziewięć lat po stłumieniu przez ZSRR powstania węgierskiego, w czym odegrał niemałą rolę. Za dwa lata zostanie zaś szefem KGB i m.in. pomysłodawcą zamykania dysydentów w szpitalach psychiatrycznych

reżimie Władimir Kara-Murza młodszy (uwolniony tego lata w ramach wymiany więźniów) skazany został za trwającą w sumie tylko 17 minut prelekcją w Arizonie, wygłoszoną nazajutrz po wybuchu obecnej wojny. Mówił tam m.in., że prawdziwą istotę Putina, wówczas jeszcze tylko premiera, pojął on już 20 grudnia 1999 r., gdy ten poszedł w Dniu Czekisty uroczystości odsłaniać na gmachu KGB na Łubiance tablicę pamiątkową Jurija Andropowa, który wcielił w życie te najgorsze właśnie praktyki polityczne.

Wszyscy Węgrzy chodźcie z nami, pójdziemy za Polakami!

Zkolei dzisiejsi apologeci Andropowa w Jarosławiu widzą w nim – i zgoła słusznie! – patrona obecnej „specjalnej operacji wojskowej” przeciw Ukraińcom („przemodelowany w złą stronę bratni naród”). Zapominają dodać, że i on sam miał wydatny udział w pierwszej takiej w dziejach powojennego ZSRR krwawej operacji wojennej w Budapeszcie. Było to w październiku-listopadzie 1956 r., gdy Jurij Andropow był na Węgrzech ambasadorem.

Dziś szczególnie warto przypomnieć, że tamto wolnościowe powstanie Węgrów rozpoczynało się demonstracją przed pomnikiem generała Bema, polsko-węgierskiego bohatera 1848 r., pod hasłem: „Wszyscy Węgrzy chodźcie z nami, pójdziemy za Polakami!”.

Było to jawne nawiązanie do czerwcowego buntu robotników w Poznaniu oraz do będącego jego efektem polskiego Października: „Uwerturą powstania węgierskiego w 1956 roku był poznański Czerwiec. Wybuchły walki, w których uczestniczyli z bronią w rękę studenci na Węgrzech Polacy, studentki i studenci. Blisko jedną trzecią pomocy otrzymaliśmy ze zniszczonej Polski”. Autor tej wypowiedzi to Ákos Engelmayr, urodzony w 1938 r. niegdysiejszy łącznik między opozycją węgierską i polską, a w latach 1990–1995 ambasador Republiki Węgierskiej w Polsce.

Spśród tych polskich studentów biorących udział jesienią 1956 r. w zbrojnym powstaniu w Budapeszcie pragnęłbym wspomnieć zapomnianą dziś nieomal doszczętnie Lidę Widajewicz, spotkaną w listopadzie 1956 r. w stolicy Węgier przez Wiktora Woroszylskiego. Jednak w jego ówczesnym „Dzienniku węgierskim” jeszcze zakamuflowana jako „puszystowłosa dziewczynka z wielkim automatem, groźnie wystawionym lufą do przodu”. Autor mógł ją ujawnić z imienia i nazwiska dopiero w roku 1976, w pierwszej głosie do swojego dziennika, gdy owa mężna Lidka od dawna już nie żyła.

Pisał zatem Woroszylski: „Po naszym powrocie [w listopadzie 1956 z Węgier przez Jugosławię do Warszawy] Lidka parokrotnie mnie odwiedziła, rozmawialiśmy; dzieliłem jej rozgoryczenie, ale spalająca to półdziecko nienawiść budziła lęk i współczucie, usiłowałem ją mitygować, czekającej zaś Lidkę zagłady [sa-

mobójstwo] nie przeczuwałem, choć może powinienem był przeczuć”.

Przecięte kolana Stalina

Andropow pojawia się w „Dzienniku węgierskim” ledwie raz, za to jako kłamca rasowy, odpowiadający – na pytanie przywódcy węgierskiego buntu Imre Nagya, czy wojska radzieckie wkraczą do Węgier – że „pogłoski te są nieprawdziwe”. A było to, dodajmy, 1 listopada, między pierwszą a drugą krwawą interwencją Armii Radzieckiej, gdy czerwone oddziały wkraczały do Węgier od strony ZSRR i Rumunii, zajmując zbrojnie lotniska, węzły kolejowe.

Tegoż 1 listopada Woroszyński pisał o zburzonym w Budapeszcie pomniku Stalina:

„Przechodzę przez plac, na którym pierwszego dnia rewolucji zwalili go z piedestału. Dokładniej, przecięli acetylenem na wysokości kolan. Został pomnik jedyny w swoim rodzaju: para ogromnych butów na wysokim postumencie. Z prawej cholewy sterczy jeszcze filuterny wiechec – zaprasza nowego chętnego, aby włączył w te buty...”

Ten, do którego należały one dawniej, przeniesiony został o kilka ulic od placu swego imienia i ciśnięty na bruk. Głuchym echem rozlega się miarowe kucie. Mosiężny gigant zamienia się w kupę nieforemnych odłamków”.

Dziś w sieci odszukać można wąsatą głowę po tym właśnie pomniku spoczywającą na torach tramwajowych – niczym owa odcięta głowa Berlioza na bruku Małej Bronnej, przylegającej do Patriarszych Prudów.

Nachylamy się nad świeżymi grobami

Wostatnim zapisie „Dziennika węgierskiego”, powstałym w niedzielę 11 listopada, Woroszyński pisał, że „wszystkie domy spalone albo pogruchotane, jezdnie wywrócone na nice, swąd, kurz, wąskie ścieżynki, wydeptane wśród zgliszcz”, to „widok znany”, „to Warszawa 1944”, „zdobyte miasto”. Nam przychodzi dziś nieuchronnie na myśl zamordowany w 2022 r. przez krwawego następcę Andropowa – Mariupol, zwłaszcza jeśli wczytamy się ze zgrozą, a potem i ze współczuciem w ostatnie akapity tegoż „Dziennika...”.

Najpierw jego fragment „Zwycięzcy”: „Jest ich czterech. Leżą na zdobytej ulicy – jeden obok drugiego – w pozach bezładnych i nienaturalnych. Rozdarci i splaszczeni – prawie dwuwymiarowi – wyglądają jak szmaciane kukły, gwałtownie ciśnięte pod osmalony mur, niemal białe w skrawek wyszczerbionego chodnika. Ktoś przysypał ich ściągnięte twarze białym kurzem czy wapnem. Najbardziej wysunięty do przodu nie ma twarzy – z pociętym hełmem zrosła się czarna, zakrzepła miazga. Dawno już muszą tak leżeć, bo niczym nie przypominają świata żywych, z którego wydarła ich jakaś trudna do wyobrażenia chwila. Są częścią martwej przyrody zgruchotałej wielkomięskiej ulicy”.

A na koniec mrozący krew w żyłach i nadal domagający się sprawiedliwego odwetu obraz zabitych węgierskich chłopców i dziewczyn: „Oprowadza mnie młody student węgierski. Oprowadza? Ja nie znam tych ulic, a on ich nie może

poznać. Razem błąkami się w to niedzielne przedpołudnie, ostatnie godziny przed pożegnaniem. Nachylamy się nad świeżymi grobami, których pełno jest na każdym skwerze, w parkach, wokół kościołów. Na kawałkach dykty lub tektury wypisano, kto tutaj leży: »Lajos...18 lat«, »Zsuzsa... 15 lat«, »Arpad... 12 lat«. Wszystkie groby ktoś obsypał kwiatami”.

I ze zgrozą uświadamiamy sobie, nawet jeszcze po tak wielu latach, że wszystkim tym młodym ludziom nie była już potrzebna ta krew, którą Wiktor Woroszyński (1927–1996) przytransportował wraz z innymi samolotem z Warszawy do Budapesztu. O czym dowiadujemy się z inicjalnego zdania „Dziennika węgierskiego”: „A więc – po rozmaitych perypetiach, protekcjach, zakłęciach – jestem na pokładzie samolotu, odwożącego do Budapesztu kolejny transport polskiej krwi i lekarstw. Pod skrzydłami – bezbrzeżna Syberia chmur. Potem następuje przejaśnienie, widać zardzewiałe pola, nieruchome drogi i tory, Węgry”.

Zanim najechali Czechosłowację

Wnapisanym już w czerwcu 1986 r. trzecim z kolei aneksie do „Dziennika węgierskiego” Woroszyński wyznał, że „myśli ze wzruszeniem o losie Lidki Widajewicz”, w którym „dostrzega dziś – dramatycznie wcielony w jego pojedynczość – ów zdumiewający archetyp, wędrujący przez dzieje za »naszą i waszą«”.

I jak tu znowu nie przywołać Natalii Gorbaniewskiej – skądinąd później serdecznej przyjaciółki Woroszyńskiego i jego tłumaczki – która z plakatem „Za wolność waszą i naszą” (w takiej właśnie kolejności!) wychodziła 25 sierpnia 1968 r. na plac Czerwoną w obronie zaatakowanej przez Układ Warszawski, na czele z Breżniewem i nadal Andropowem, Czechosłowacji. Jednakże momentem przełomowym w jej biografii, o czym sam wielokrotnie od Nataszy słyszałem, była już w 1956 r. ta krwawa stłumiona rewolucja demokratyczna na Węgrzech. I nieprzypadkowo to Natalia właśnie przetłumaczyła na rosyjski ów „Dziennik węgierski”, publikując go w 1978 r. w 16. numerze emigracyjnego kwartalnika „Kontynent”...

Więc dziś tym bardziej musi napawać obrzydzeniem postawa wobec Putina, jaką prezentuje niezmiennie od początku wojny obecny premier Węgier Viktor Orbán, klasyczny następca równie niesławnej pamięci Jánoša Kádára. Ten bowiem podczas powstania 1956 r. wyjechał potajemnie do Moskwy, po czym wrócił do Budapesztu jako namiestnik Kremla, a po krwawym stłumieniu zrywu wydał haniebny nakaz, by stracić na szubienicy dwóch jego męźnych architektów – Józsefa Dudása (1912–1957) oraz Imre Nagya, urodzonego w 1896, a powieszono go w nocy z 15 na 16 czerwca 1958 r. w Budapeszcie.

O tych wszystkich ludziach i takich dramatycznych sprawach nie powinniśmy dzisiaj zapominać, tym bardziej w obliczu odsłaniania tablic pamiątkowych dla dawnych „bohaterów pracy socjalistycznej”, będących však niezmiennym źródłem inspiracji dla zbrodniarzy współczesnych, szczególnie gdy uzyskują oni poparcie ze strony popuczyków zagranicznych – w rodzaju Viktora Orbána.

Prof. dr hab. Grzegorz Przebinda – filolog rusycysta, historyk idei, tłumacz. Publikuje książki o Rosji, Ukrainie i Białorusi. Przetłumaczył, wraz z żoną i synem, „Mistrza i Małgorzatę”



JOANNA SZCZEPKOWSKA

WYSOKIE NAPIĘCIE

POCZĄTEK ROKU

Mijałam nastolatków w odprasowanych białych koszulkach.

Jakoś mnie wzruszyli. I nagle usłyszałam wypowiedziane szeptem: „To gdzie jest ta wódka?”

Od razu zastrzegam, że nie jestem ze złotej klatki. Wiem dobrze, że życie nastolatków też ma swoje zakręty, powolne pasowanie na dorosłego odbywa się drogą prób i błędów. Mimo to myślałam, że pewne informacje to przesada, że media histeryzują, że to sporadyczne przypadki. Tak myślałam do początku września, do pierwszego dnia roku szkolnego.

Było ok. godz. 15, szłam przejściem podziemnym w mojej dzielnicy. Przejścia podziemne są zawsze takie same, bez względu na to, do jak ekskluzywnych ulic prowadzą. Mijałam rząd barów z kebabami, sklepik dla kibiców, dzielnicowe ksero i sklep alkoholowy. W piwnicznej wilgoci jakiś pijany człowiek przyklejony do ściany zmagął się ze swoim błędniakiem.

Minęłam kilku przechodniów i grupkę nastolatków ubranych w białe koszule. I te koszule, odświętne, wyprasowane, odcinały się białą od porysowanych ścian tunelu. Zwolniam trochę, bo swoją ponadczasową elegancją, klasycznym uczniowskim ubiorem jakoś mnie ci nastolatkowie wzruszyli. Jutro ubiorą się w swoje dresy, w spodnie z dziurami na kolanach i najróżniejsze „stylówki”. Dzisiaj są odprasowani, wykrochmaleni, śnieżnobiały, jak wszystkie poprzednie pokolenia.

Przechodząc koło nich, patrzyłam na dziecięce jeszcze twarze kilku dziewczyn i kilku chłopaków. Mogli mieć najwyżej po 15 lat. Nagle usłyszałam wypowiedziane szeptem: „To gdzie jest ta wódka?”. Najpierw pomyślałam, żeby iść dalej w swoją stronę, bo co mnie obchodzi grupa dzieciaków. A jednak obchodzi i nic na to nie poradzę. Przystanęłam. Spostrzegłam, że oni się kręcą koło sklepu z alkoholem, więc ja też zaczęłam się tam kręcić. Głupio się czułam, że ich podglądałam w szybie punktu ksero, ale też nie potrafiłam już stamtąd odejść. Widziałam, jak oni starają się ocenić, kto z nich wygląda na pełnoletniego. Nikt na pełnoletniego nie wyglądał, więc czekali, aż się zgłosi najodważniejszy. Dziewczyny opierały się o ścianę z takimi minami, jakby chciały powiedzieć: „jak żaden się nie odważy, to któraś z nas pójdzie”.

Co robić? Wtopić się w to przejście podziemne, nie myśleć, nie widzieć, zbagatelizować? Bo co można innego? Przychodzi mi do głowy, żeby wejść i porozmawiać w tym sklepie, ale kto tam może sprzedawać? Menel jakiś pewnie, coś odburknie, a i tak im sprzeda tę wódkę. Jednak weszłam. W środku niespodziewanie czysto, za ladą jakiś bardzo młody człowiek. Trochę się wstydziłam, ale zaczęłam mówić: – Przepraszam pana, mam takie nietypowe pytanie... Bo tu są licealiści i chyba chcą kupić wódkę, czy pan im...

Ale on mi przerwał: – Tak, widzę. Pełno ich dzisiaj, jak zawsze w pierwszy dzień szkoły. Ja im nie sprzedam.

– Pytają o wódkę w pierwszy dzień szkoły?

– Każdego roku coraz ich więcej – odpowiedział.

Wysłałam stamtąd jakaś obolała. Kręciłam się, dreptałam przy tej grupce w białych koszulkach. Wreszcie zdecydowałam, żeby do nich pójść. – Nie pijcie wódki, to się tak kończy – powiedziały, pokazując mężczyznę, który ciągle nie mógł się odkleić od ściany. Zostawiłam ich z tą lekcją pogładową i poszłam dalej, na wszelki wypadek nie patrząc za siebie. Może uznali mnie za uliczną wariatkę, może za osobę, która z samotności szuka okazji do zaczepki. Nie wiem. Wiem jedno: jeśli rzeczywiście nastolatki masowo piją wódkę na początek roku szkolnego, a szkołę zaczynają od kaca, to jest pilne, niezbędne, bezwarunkowo konieczne, żeby wprowadzić do programu szkolnego wiedzę o skutkach picia alkoholu. To jest pilne tak samo, jak program o ekologicznych zagrożeniach. Bo przecież czym innym jest doświadczenie wina przy ognisku, kiedy kolega z wakacji podaje papierowy kubek i wstyd odmówić mimo dreszczu obrzydzenia. Czym innym są wspomniane po latach pierwsze grzechy i zakazanie się w tym (choć trudno), że wiek tych doświadczeń to teraz nie 16, lecz 14 lat, nie zmienia to faktu, że pomysł „opicia” początku roku szkolnego jest przekroczeniem czerwonej linii. Nie chodzi oczywiście o profanację uroczystości, bo w tym przynajmniej byłby jakiś sens buntu, chodzi o taki właśnie, a nie inny pomysł na wspólny początek. O to, że nastolatki masowo zaczynają szkołę od kaca. Myślałam, że to medialna przesada. A to jest może ostatni dzwonek.